

JEAN-PAUL SARTRE

WOLNOŚĆ A ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Od tłumacza

Jean-Paul Sartre stanowi – i nie tylko tu dla nas – jakby przejście, łącznik pomiędzy czasami międzywojnia a czasami powojennymi. Swą filozofię egzystencji pomyślał właściwie jeszcze „przed Oświeceniem”, zaś jej praktyczne „przełożenie” kształtował już „po Oświecieniu”. Tuż po wojnie perswadował:

„Jeśli rzeczywiście egzystencja wyprzedza istotę, to człowiek jest odpowiedzialny za to, czym jest. Tak więc pierwszym krokiem egzystencjalizmu będzie uświadczenie człowiekowi, czym jest on sam, i złożenie na niego całkowitej odpowiedzialności za własne istnienie. Ale mówiąc, że człowiek jest odpowiedzialny za siebie, chcemy powiedzieć, że jest on odpowiedzialny nie tylko za swą własną indywidualność, ale również za wszystkich innych ludzi”¹.

W pełni filozoficzną artykulację odpowiedzialności zawarł Sartre w swym głównym dziele, Byt i nicność, które opublikował w roku 1943. Proponujemy tu jego najistotniejszy dla nas fragment. Podstawą przekładu jest pierwsze wydanie: L’être et le néant. Essai d’ontologie phénoménologique, Paris 1943, s. 639–642.

Aczkolwiek następujące teraz rozważania bardziej przystoją moralistom, to przecież nie wydaje się daremne powrócić po dotychczasowych opisach i rozumowaniach do wolności bytu-dla-siebie i próbować zrozumieć, co fakt tej wolności oznacza dla ludzkiego losu.

Jest istotną konsekwencją wcześniejszych naszych wywodów, iż człowiek, skazany na to, by być wolny, dźwiga na swych ramionach ciężar całego świata: jest odpowiedzialny za świat i za siebie samego (pojętego) jako sposób bycia. Bierzemy słowo »odpowiedzialność« w banalnym jego znaczeniu »świadomości bycia bezspornym sprawcą jakiegoś wydarzenia czy jakiejś rzeczy«. W tym sensie odpowiedzialność jest dla bytu dla-siebie czymś przytłaczającym, jest on bowiem tym, poprzez którego wydarza się to, iż jakiś świat *istnieje*; a ponieważ ów byt dla-siebie jest także tym, który *czyni siebie będącym*, musi on – jakakol-

¹ J.-P. Sartre, *Egzystencjalizm jest humanizmem*, tłum. J. Krajewski, Warszawa 1998, s. 28–29.

wiek by nie była sytuacja, w której się znajduje – przyjąć tę sytuację w całości, łącznie z przeciwnościami, jakie ze sobą niesie, nawet gdyby była ona nie do zniesienia; musi przyjąć ją z dumną świadomością, że oto jest jej twórcą, bowiem owo największe zło czy owe najgorsze niebezpieczeństwa, których przytrafienie się grozi mej osobie, posiadają swój sens wyłącznie dzięki mojemu projektowi; i zjawiają się one w horyzoncie owego zaangażowania się, jakim jestem. Bezsensem byłoby tedy, chcieć się uskarżać, bowiem o tym, co odczuwamy, co przeżywamy czy czym jesteśmy, nie zdecydowało przecież nic poza nami. Ta absolutna odpowiedzialność nie wynika zresztą z akceptacji, lecz jest jedynie logicznym wzięciem na siebie konsekwencji naszej wolności. To, co mi się przydarza, przydarza mi się dzięki mnie samemu, i nie mogę ani się tym zamartwiać, ani przeciw temu się buntować, ani się z tym układać. Zresztą wszystko, co mi się przydarza, jest *moje*; należy przez to w pierwszym rzędzie rozumieć, iż jako człowiek zawsze znajduję się już na wysokości tego, co mi się przydarza, bowiem to, co człowiekowi przydarza się przez innego człowieka i przez siebie samego, może jedynie być ludzkie. Owe najstraszliwsze sytuacje czasu wojny, najpotworniejsze męki nie stanowią jakichś sytuacji nieludzkich: nie istnieje bowiem sytuacja nieludzka; jedynie przez strach, ucieczkę i powrót do magicznych sposobów zachowywania się mogą *decydować* się na to, co nieludzkie; takie jednak zdecydowanie jest ludzkie i będę dźwigał całą za nie odpowiedzialność. Nadto, sytuacja ta jest *moja*, ponieważ jest odbiciem mego wolnego wybrania siebie i wszystko, co mi ona przynosi, jest tedy *moje*, tak dalece mnie stanowi i symbolizuje. Czy to nie jestem ja, który, decydując o sobie, decyduję o przeciwnościach rzeczy aż po ich nieprzewidywalność? Tak tedy nie istnieją żadne *przypadki* w czyimś życiu; jakieś społeczne wydarzenie, które nagle wybucha i również mnie zagarnia, nie przychodzi z zewnątrz; jeśli zostaję zaciągnięty na jakąś wojnę, wojna ta jest *moją* wojną, jest na mój obraz i zasługuję na nią. Zasługuję na nią choćby już dlatego, iż zawsze mogłem – wybierając samobójstwo czy dezercję – od niej się uchylić: zawsze musimy brać pod uwagę takie ostateczne możliwości, jeśli idzie o ocenienie jakiejś sytuacji. Ponieważ jednak nie uchyliłem się od tej wojny, *wybrałem* ją; być może ze słabości, ze strachu przed opinią publiczną, bowiem przedkładałem określone wartości nawet nad uchylenie się od służby wojskowej (szacunek bliskich mi osób, honor mej rodziny itd.). W każdym razie chodzi o pewien wybór. Wybór ten będzie w następującym czasie ciągle ponawiany aż do zakończenia wojny; trzeba przeto podpisać się pod owym powiedzeniem Jules Romains’a: „Na wojnie nie ma niewinnych ofiar”². Jeśli więc przedłożyłem wojnę nad śmierć czy utratę czci, to wówczas wszystko wydarza się tak, jak bym to ja ponosił całą odpowiedzialność za tę wojnę. Zapewne inni ją wypowiedzieli i można by próbować potraktować mnie jako jedynie współwinnego. Jednakże owo pojęcie współnictwa w winie ma sens wyłącznie prawny i tu nie wytrzymuje próby, bowiem to *ode mnie* zależało, żeby ta wojna dla mnie i przeze mnie nie istniała, a zdecy-

² J. Romains, *Prelude a Verdun*, Flammarion, Paris 1938.

dowałem, że istnieje. Nie było żadnego przymusu, bowiem przymus nic nie poradzi wobec czyjejś wolności; nie dysponowałem żadnym usprawiedliwieniem, bowiem – jak już w tej książce nie raz powiedzieliśmy – jest swoistością rzeczywistości człowieka, że pozbawiona jest ona usprawiedliwienia. Pozostaje mi więc tylko tę wojnę przyjąć. Poza tym jest ona wszak *moją*, bowiem przez samo to, że pojawiła się w sytuacji, którą to ja uczyniłem istniejącą, i że tylko w niej mogę wojnę tę – angażując się za nią czy przeciw niej – odkryć, nie mogę już teraz wybrania siebie samego odróżniać od wybrania tej wojny: przeżywać tę wojnę znaczy poprzez nią wybierać siebie i poprzez wybieranie siebie samego wybierać ją. Nie może w ogóle wchodzić w rachubę, by traktować ją jako »cztery lata wakacji« czy jako pewien »stan zawieszenia«, czy jako jakiś »przestój«, bo niby to, co dla mej odpowiedzialności istotne, miałoby tkwić w czymś innym, w mym życiu małżeńskim, rodzinnym czy zawodowym. Tymczasem w tej wojnie, którą wybrałem, dzień po dniu wybieram siebie, a wybierając siebie, czynię ją *moją*. Jeśli miałyby ona być czterema latami pustki, to odpowiedzialność za to dźwigam ja sam. Krótko mówiąc, każda osoba jest absolutnym wyborem siebie, wyłaniając się z pewnego świata wiadomości i technik, jaki zostaje przez ten wybór zarazem rozświetlony i przyjęty; każda osoba to coś absolutnego, co cieszy się pewnym absolutnym momentem i co w jakimś innym momencie byłoby zupełnie nie do pomyślenia. Próżnym tedy jest pytanie, kim byłbym, gdyby ta wojna nie wybuchła, ponieważ wybrałem siebie jako pewien możliwy zamysł epoki, która niepostrzeżenie prowadziła do tej wojny; nie odróżniam się od tej właśnie epoki i nie mógłbym bez sprzeczności zostać przeniesiony do jakiejś innej. Przeto *jestem* tą wojną, która zamyka i pozwala zrozumieć epokę ją przygotowującą. W tym sensie trzeba cytowaną wcześniej formułę: »Na wojnie nie ma niewinnych ofiar« spożytkować dla ściślejszego określenia odpowiedzialności bytu dla-siebie: »Człowiek ma wojnę, na którą zasłużył«. Totalnie więc wolny, nieodróżnialny od epoki, której być zamysłem wybrałem, tak dalece za tę wojnę odpowiedzialny, jakbym sam ją wypowiedział, niezdolny do przeżywania niczego, nie włączając tego we *własną swą* sytuację i całkowicie się w nią nie angażując, odciskając na niej własne piętno, muszę być pozbawiony skrupułów i litości, tak jak pozbawiony jestem usprawiedliwienia, bowiem od momentu pojawienia się w bycie dźwigam całkowicie sam dla siebie brzemień świata, bez możliwości jakiegokolwiek – i przez kogokolwiek – ulżenia.

Odpowiedzialność ta jest jednak nader szczególnego rodzaju. Będzie się mi przecież oponować: »Nie prosiłem się na świat«, co jest naiwnym sposobem podkreślania naszej faktyczności. Jestem tedy za wszystko odpowiedzialny, prócz samej mej odpowiedzialności, bowiem nie jestem przyczyną mego bycia. Wszystko dzieje się w taki sposób, jakbym był przymuszony do bycia odpowiedzialnym. Zostałem *rzucony* w świat, ale nie w tym rozumieniu, że zostałem wydany i tkwię pasywnie w jakimś wrogim uniwersum, jak patyk pędzony przez fale, lecz, przeciwnie, w tym rozumieniu, że nagle znajduję się sam i bez jakiegokolwiek pomocy, zaangażowany w pewien świat, za który dźwigam całą odpowiedzialność, bez żadnej możliwości zdjęcia jej ze mnie, z tego, co czynię,

choćby na jedną chwilkę, bowiem odpowiedzialny jestem nawet za swą chęć ujęcia odpowiedzialności; czynić siebie pasywnym w świecie, odmawiać sobie oddziaływania na rzeczy i na innych ciągle jeszcze znaczy wybierać siebie i nawet samobójstwo jest jednym ze sposobów bycia-w-swiecie. Tymczasem na powrót odnajduję pewną absolutną odpowiedzialność, ponieważ moja faktyczność, co oznacza tu fakt urodzenia mnie, nie daje się uchwycić wprost, a nawet pomyśleć, bowiem ów fakt urodzenia mnie nigdy nie ukazuje mi się wprost, lecz zawsze zapośredniczony przez projektującą rekonstrukcję mojego bytu dla-siebie; wstydę się, że zostałem urodzony, albo zdumiewam się tym, albo raduję, albo – kiedy próbuję odebrać sobie życie – potwierdzam, że przyjmuję to życie i przeżywam jako złe. A więc w pewnym sensie *wybieram* owo bycie urodzonym. Sam ten wybór jest w całości wywołany przez faktyczność, bowiem ja przecież nie jestem zmuszony wybierać; faktyczność ta ukaże się ze swej strony jedynie o tyle, o ile w swych dążeniach ją przekroczę. W tym sensie faktyczność jest wszędzie, jednakże nie jest uchwytana; zawsze zderzam się tylko ze swoją odpowiedzialnością, dlatego nie mogę pytać: »*Po co* zostałem urodzony?« i przeklinać dzień swych urodzin czy oświadczać, że nie prosiłem się na świat, bowiem różne te postawy wobec mych narodzin, to znaczy wobec *faktu*, że urzeczywistniam pewne uobecnianie się w świecie, nie są właśnie niczym innym niż różnymi sposobami przyjęcia z pełną odpowiedzialnością tych narodzin i uczynienia ich *moimi*; również tutaj natrafiam tylko na siebie i swoje projekty, tak iż ostatecznie moje rzucenie, to znaczy moja faktyczność, polega jedynie na tym, że skazany jestem na to, by być za siebie samego w całości odpowiedzialnym. Jestem byciem, które *jest* jako takie bycie, któremu w jego byciu chodzi o to bycie. I to »*jest*« mojego bycia jest na sposób obecności, a nie na sposób tego, co daje się uchwycić.

W tych warunkach, ponieważ każde zdarzenie w świecie może mi się odślaniać jedynie jako *okazja* (*okazja wykorzystana, zaprzepaszczone, zaniedbana* itd.) albo – lepiej jeszcze – ponieważ wszystko, co się nam przytrafia, postrzegane może być jako pewna *szansa*, to znaczy może się nam ukazywać jedynie jako środek do urzeczywistniania tego bycia, o które w naszym byciu chodzi, i ponieważ inni jako transcendowane-transcendencje również są jedynie *okazjami* i *szansami*, odpowiedzialność bytu dla-siebie rozpościera się na cały świat jako świat zaludniony. Tak tedy byt dla-siebie uchwytuje siebie w trwodze, to znaczy jako byt, który nie jest podstawą ani swego bycia, ani bycia innego (człowieka), ani bycia stanowiących świat bytów w-sobie, a który przymuszony jest jednak decydować w sobie i wszędzie poza sobą o sensie bycia. Kto w trwodze urzeczywistnia swój los rzuconego w odpowiedzialność, sięgającą aż po samo jego bycie rzuconym, nie zna już ani skrupułów, ani żalu, ani usprawiedliwień; jest już wyłącznie wolnością, która odslania się jako w całości ona sama i której bycie polega właśnie na tym odslanianiu. Jednakże – wskazaliśmy na to już na początku tej książki – w przeważającej mierze umykamy przed tą trwogą w nieautentyczność.